Nr. 23. Sobota, dnia 3-go czerwca 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę szóstą po Wielkanocy.

EWANGELIA

u św. Jana rozdział XV, wiersz 26—27 i rozdz. XVI, wiersz 1—4.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów: Gdy przyjdzie pocieszyciel, którego Ja wam poślę od Ojca, Duch prawdy, który od Ojca pochodzi: on o Mnie świadectwo dawać będzie. I wy świadectwo dawać będziecie, bo ze Mną od początku jesteście. Tom wam powiedział, abyście się nie gorszyli. Wyłączą was z bóżnic; ale idzie godzina, że wszelki, który was zabija, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu. A to wam uczynią, iż nie znają Ojca, ani Mnie. Alem to wam powiedział, abyście, gdy godzina przyjdzie, wspomnieli na to, żem Ja wam powiedział.

NAUKA.

Duch święty, którego przyjście Pan Jezus obiecuje, jest trzecią Osobą Trójcy Przenajświętszej, jedno z Bogiem Ojcem i z Bogiem Synem. Pan Jezus nazywa Go w dzisiejszej Ewangelii Pocieszycielem i Duchem prawdy. Pocieszycielem, bo ze Jego sprawą Pan Jezus dotrzymuje obietnicy swojej, jaką dał: „Nie zostawię was sierotami", oraz dlatego, że Duch św. dziwnie umie i lubi pocieszać wierne sługi Chrystusowe, jak we wszystkich prześladowaniach, które Pan Jezus zapowiada wyznawcom swoim, tak i we wszystkich onych utrapieniach, o których Pismo św. wyraźnie mówi, „iż przez wiele ucisków trzeba nam wnijść do Królestwa Bożego." Duchem prawdy też nazywa się Duch święty po części dlatego, że On daje i utrzymuje tak w Kościele Bożym, jak i w sercach wiernych znajomość i zrozumienie całej i wszystkiej tej prawdy Bożej, o której Pan Jezus mówi: „Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi", po części zaś w przeciwieństwie do ducha świata, który jest duchem kłamstwa, czyli złym duchem.

Duch czasu, o którym ludzie, zwłaszcza t. zw. postępowi, przechwalający się z swojego rzekomego postępu bez Boga, mówią, że potrzeba z nim postępować, a przynajmniej z nim się rachować, niczem innem nie jest, jeno tym samym duchem świata, czyli duchem kłamstwa. Nazwa tylko inna, ale rzecz jest ta sama. Na jakiej podstawie to twierdzę? Oto na tej, że duch czasu raz po raz się zmienia i coraz to nowe stawia zasady i wymagania, „a prawda Pańska trwa na wieki". Jasną jest rzeczą, że jak naprzykład ta prawda, że dwa razy dwa jest cztery, tak wszystko inne co rzeczywiście jest prawdą, było prawdą od wieków i na wieki też prawdą zostanie, bo prawda z natury swojej jest nieodmienną: kłamstwo zaś i błędne mniemania ludzkie, i wymysły ludzkie lub szatańskie, te się wciąż zmieniają. Dalej twierdzę, że duch czasu jest duchem złym dlatego, że wojuje przeciw Bogu i prawdzie Bożej. Tak np. teraźniejszy duch czasu rozkrzewia głównie cztery zasady wręcz przeciwne nauce Chrystusa Pana. Pierwsza z tych zasad, że ten mądry i tęgi, co wszystko i wszystkich krytykuje, ze wszystkiego zawsze jest niezadowolony, i na wszystko i wszystkich o ile możności głośno i po grubiańsku wygaduje, że wszystko źle urządzone, począwszy od najwyższej władzy duchownej i świeckiej. Całkiem przeciwnie naucza Pan Jezus: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni; albowiem którymbyście sądem sądzili, sądzeni będzie; i którą miarą mierzyć będziecie, odmierzą wam." Jako karę jedną z najcięższych wymienia Pismo św., „gdy na pośmiech podani król i kapłan"; a jeżeli Pan Jezus mówi, że każdą krzywdę, by też najmniejszym z braci naszych wyrządzoną, poczyta za krzywdę swoją własną, jakżeż nie ma surowo potępiać uwłaczania i potwarzania tych, których wywyższył nad innych i uczynił ich pomazańcami Bożymi, Namiestnikami swoimi i Pasterzami nad ludem swoim. O nich to rozumieć należy ono słowo Pańskie: „Kto się was dotknie, dotyka się źrenicy oka mego"; a do biskupów i kapłanów w szczególności ono: „Kto wami gardzi, Mną gardzi".

Drugą zasadą podawaną przez teraźniejszego ducha czasu, jest ta, jakoby największem nieszczęściem było być ubogim i zmuszonym do pracy i skromnego utrzymania. Niestety, pełno jest takich, którzy zapomniawszy na przeciwną tej zasadzie naukę Pana Jezusa, narzekają na Boga i ludzi, że w biednym są stanie, że nie mogą bez ciągłej pracy wyżyć, a tem mniej używać jak i używają bogaci, zazdroszczą bogatszym i burzą się przeciw nim, a o tem wciąż myślą, jakby wygrać w loteryę albo w karty, przez spekulacye lub zakłady, a nieraz choćby za pomocą oszustwa lub kradzieży dostać grosza. Wręcz przeciwnie temu naucza Pismo święte: „Szczęśliwy... który za złotem nie biegał, ani ufał w pieniądzach, ani skarbach", a na innem miejscu przestrzega: „mając żywność i czem się odziać, na tem poprzestawajmy; bo niektórzy chcąc bogatymi być, wpadną w pokuszenie i w sidło djabelskie, i w wiele pożądliwości niepożytecznych i szkodliwych, które pogrążają ludzi na zatracenie i zaginienie." Zapewne, życie bogatych na ziemi jest wygodniejsze, niż dola ubogich, ale dlatego wcale jeszcze nie szczęśliwsze, a co najważniejsza, nie jest bezpieczniejsze w wieczności; bo jak mówi Pan Jezus: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo niebieskie," a przeciwnie: „Łatwiej jest wielbłądowi przez dziurę igielną przejść, niż bogatemu wnijść do Królestwa niebieskiego."

Trzecią zasadą ducha czasu, również jak poprzednie niechrześciańską, jest, że najszczęśliwsi są ci, którym nigdy nic nie dolega i którym zawsze wszystko się wiedzie tak, jak oni sami sobie tego życzą. Stąd znów tyle pomiędzy ludźmi narzekania na ciężkie czasy, tyle biadowania na ciągłe przeciwności i niepowodzenia prawdziwe lub urojone, a w końcu

i bluźnienia przeciw samemu Panu Bogu, jakoby już o nas zapomniał, albo nawet, że jest niesprawiedliwym, bo złym i takim co nie potrzebują daje lepiej, niżeli dobrym i potrzebującym. I tak już ludzie poczęli wierzyć w to kłamstwo ducha czasu, że przekonani są, jakoby tacy, którzy mają wiele powodzenia w tem życiu, byli nietylko najszczęśliwsi, ale i najmędrsi, najsprawiedliwsi, najdzielniejsi i najlepsi; a zarazem tak się boją każdej przeciwności i każdego krzyża, że niejeden woli odważyć się raczej na nienawiedzieć wiele grzechów, albo i na uczynienie sobie śmierci Judaszowej, niż na cierpienia i cierpliwość. Tymczasem niemasz kącika bez krzyżyka, a Pismo św. bardzo wyraźnie mówi, „iż przez wiele ucisków potrzeba nam wnijść do Królestwa Bożego”.. A i najlepszym, bo Apostołom i im podobnym zapowiada Pan Jezus w dzisiejszej Ewangelii nietylko zwyczajne niepowodzenie i cierpienia, ale nawet prześladowania wszelkiego rodzaju aż do śmierci męczeńskiej, ale zarazem pociesza ich, że „smutek ich w radość się obróci”.

Czwarte i najbezczelniejsze, ale zarazem i najzgubniejsze kłamstwo ducha czasu, jest, jakoby nie było ani Boga, ani wieczności, jakoby dla człowieka tak samo, jak dla bydlęcia nierozumnego, po śmierci nie było ani nieba ani piekła, bo to (mówią) puste wymysły księży i im podobnych wyzyskiwaczy. Dawna to sztuczka szatańska, to wierutne kłamstwo swoje zachwalać jako szczyt mądrości, jako zdobycz nauki i postępu, a starą wiarę wyszydzać jako zacofanie i ciemnotę. Już Pismo św. starego zakonu opowiada o ludziach, którzy poszedłszy na ten nienowy lep ducha czasu „mówili rozmyślając niedobrze u siebie: Krótki a teskliwy jest czas żywota naszego i niemasz ochłody (t. j. nieba) na końcu człowieczym, i niemasz ktoby był poznany, że się z piekła wrócił. Bo z niczegośmy się narodzili i potem będziemy jakoby nas nie było... Pójdźcież tedy i używajmy dóbr mniejszych, a zażywajmy rzeczy stworzonych prędko... To myślili i pobłądzili,” aż po śmierci a więc i po czasie, na sądzie ocknąwszy się powiedzią ze smutkiem: „A tak zbłądziliśmy z drogi prawdziwej, i nie świeciła nam jasność sprawiedliwości, i słońce rozumienia nie wyszło nam; napracowaliśmy się na drodze nieprawości i zatracenia... a drogi Pańskiej nie znaliśmy, zniszczeliśmy we złości naszej. Takie rzeczy mówili w piekle ci, którzy zgrzeszyli.” Do nich podobni są ci, którzy wśród troski o bogactwa i powodzenie tak zapominają na Boga i wieczność, jakby wcale w nią nie wierzyli.

Porachuj się, czy powodujesz się Duchem świętym, który jest Duchem prawdy, czy raczej idziesz za namowami kłamliwego ducha świata i czasu?

MIAŁA SZCZĘŚCIE.

Piotr, rezerwista, drzemie w szpitalu na swem biało-zasłanem łóżku, gdy naraz budzi go z tej drzemki głos dobrze znany:

— Czy to tu ranni? Kto mi też pokaże, gdzie leży brygadyer Hutard z 13 pułku kirasyerów?

Piotr podnosi się na wpół na swej pościeli i widzi w progu sali swą młodą żonę, świeżą, hożą wieśniaczkę, ubraną odświętnie, w kapeluszu z kwiatami, który chwieje się na jej złotych warkoczach.

— Tędy! — woła na nią. — Chodź tutaj, tu, koło okna.

— Patrzcie go! Jest! Tylem się naszukała. Mam szczęście, niema co mówić, prawdziwe szczęście.

Małżeństwo uściskało się, obejmując się serdecznie i mocno; w końcu ranny wysunął się z objęć żony.

— Siadaj tu, koło mnie na krześle. Dostałaś list?

— A jakżeż! A wpierw przez siedem niedziel nic od ciebie nie było. Myślałam już, że cię na świecie niema, aż tu list przychodzi, tom się wnet zebrała do ciebie i przyszłam. Do szpitala jakoś łatwo trafiłam, ale jakem tu weszła pod te schody, nic zmiarkować nie mogłam, gdzie i co? A tu jeszcze ani siostry nijakiej nie było, ani doktora, ledwo żem cię znalazła.

— To jest pawilon ozdrowieńców. Jak widzisz, jestem już ozdrowieńcem. Pielęgniarka poszła na śniadanie.

— To i lepiej, pogwarzymy sobie. To cię bardzo raniło?

— Dosyć ciężko nawet, ale teraz już mi lepiej.

— Chwała Bogu, dobrze nawet wyglądasz. Ja myślałam, żeś bardzo zbiedniał. Prawda, że już dwa miesiące leżysz w szpitalu. A wstajesz już?

— Jeszcze nie, potem ci opowiem, ale wpierw ty mi powiedz, co się tam u nas dzieje we wsi.

— A no trochę ci ludziom markotno jak wszędzie, chociaż u nas prawdę mówiąc, wojny nie było. Do miasta nosimy jak dawniej mleko, jaja, masło, a wszystko się teraz dwa razy drożej sprzeda, przez tych gości, co z Paryża najechali, to i grosza trochę jest. Lepiej się nam można powiedzieć powodzi niż innym. A potem kilka niedziel temu umarł twój wuj Michał, a co po nim zostało, poszło na ciebie — stary bo już był co prawda, 98 lat, a wojna go jeszcze dokończyła. Wiesz, tobie zostawił całą winnicę. Godzinka to drogi od nas, to trochę niesklądnie chodzić na robotę, ale za to wina tam będzie dużo, będzie co zebrać, trzeba tylko wstawać trochę przed słońcem, by człowiek mógł w porę zajść na robotę.

Piotr westchnął.

— Co ci to? Rana ci może doskwiera?

— Nie, to tak sobie, rad ci jestem, żeś przyszła i od tego mi się jakoś tkliwi. Potem ci powiem. Teraz ty mi jeszcze opowiadaj, co się dzieje u nas w okolicy.

— Nieboszczyk wuj Michał zostawił nam jeszcze wózek z koniem, wiesz ta jego klacz z uprzężą, wszystko co potrza do stajni; a oprócz tego siodło. Co tydzień pojedziem sobie do kościoła albo na jarmark, ja na wózku a ty możesz i na siodle.

Piotr poruszył się niespokojnie.

— Co ci to stary? — powiedz. — Boli cię co? Czekaj, poprawię ci poduszkę.

— Nie, nie, nic mi nie jest.

— A czegoś tak zmarkotniał. — Powiedz co masz na sercu, to ci lżej będzie.

— Nie, nie, ty lepiej mów dalej, co tam po wuju zostało.

— Ano, oprócz winnicy i klaczy, zostało po nim w kasie trochę grosza.

— Parę set franków?

— Źle zgadłeś. Cóż to, czy taki dziad był z niego?

— Tysiąc franków.

— Jeszcześ nie wpadł, dodaj do tego trzy.

— Co mówisz, cztery tysiące?

— Tak mój stary, tak; a jakem pokazała notaryuszowi te pienipotencye, co mi zostawił, to mi

zaraz dał czwartą część, a ja wydałam już z tego 200 franków.

— Dobrze zrobiłaś.

—A pewnie, że dobrze, bo to na upominek dla ciebie. Zgadnij, co ci kupiłam, zgadnij!

— Cielaka.

— A cóżeś tak zgłupiał? Czy to za cielakiem tak utęskniałeś? Kupiłam ci coś takiego, co chciałeś mieć a nie mogłeś, bo nie było za co?

— Strzelbę?

— A nie, tego nie chciałam, mało ci tego, żeś na wojnie strzelał — nie to. Zgadnij! co innego.

— Chyba nie zgadnę.

— To ci już chyba sama powiem, bo mnie okrutnie język świerzbi.

— To już nie będzie niespodzianki.

— To cóż robić. Kupiłam ci to na kołe, co samo jeździ. Co, zgadłeś już?

— Bicykiel?

— Tak, bicykiel, będziesz sobie jeździł. Rad jesteś?

— No... tak.

— Nawet mi nie podziękujesz. Czy cię co odmieniło.

— Nie to, tylko pomyślałem sobie o chłopaku naszym. Cóż tam Jasiek? urósł?

— Pewnie, że urósł. Odszedłeś go w powijakach, a teraz to ci pełza, w piasku się tarza, a drapie, mówię ci, istny kociak... Chodzi, to jeszcze niepewnie, za rączkę go biorę, a on drze się »tata« i »tata«. Że go ty niby nauczysz chodzić, widzisz go, jaki!

Z piersi Hutarda wydarł się tym razem cichy jęk...

— A to co, co cię boli? Byłeś co tylko tak rumiany, a teraz zbielałeś jak poduszka, może ci siostry zawołać.

— Nie trzeba, już mi przeszło. Widzisz przecie, że jestem zdrów, mówię, oddycham, mogę jeść.

— Małoś co dotąd powiedział. Mnie tylko za język ciągniesz, a sam jakbyś oniemiał. Ja widzę, że ty coś przedemną taisz, cóż to, nie wierzysz już żonie?

— Ale owszem, wierzę ci zawsze, tylko...

— Tylko co? To rzeknij już raz. Co się z ciebie zrobiło. Możeś ty się teraz zrobił taki wraźliwy, że się o byle co gniewasz. Możem ci co powiedziała, co ci nie w smak poszło, choć są same dobre nowiny.

— Tak, ty same dobre, a ja sprawię ci smutek, ciężki smutek, a który trwać będzie zawsze.

— Boże ty mój, jęknęła kobieta, a to co znowu? Tom się po próżnicy cieszyła, co to być może? Ty prawie zdrów jesteś. Powiedz już chyba Piotruś, powiedz!

Hutard nie panował już nad sobą i załkał, a potem wyjąkał.

— Nie śmiem ci sam powiedzieć, nie śmiem, Ale patrz...

Odrzucił kołdrę, a potem prześcieradło, a zdumiona kobieta obaczyła wtedy pod siatką ochronną z drutów dwa krótkie niekształtne pieńki, owinięte grubo watą i banadażami, a dalej nic zupełnie nic, na materacu.

Krzyknęła przeraźliwie, złamała się potem, niejako zgięła we dwoje i oparłszy łokcie na kolanach, szlochała rozpaczliwie. Ranny naciągnął tymczasem na siebie prześcieradło i kołdrę, i słuchał w milczeniu tego szlochania żony. Po tem mówić zaczął pół głosem, jakby się usprawiedliwiając.

— Chciałem ci to napisać, alem nie mógł, palce mi jakoś grabiały i pióro z rąk wypadało. Potem jakeś tu przyszła, chciałem ci odrazu powiedzieć i znów nie mogłem. Dlatego to widzisz nie ucieszyła mnie ani ta winnica, na której robić nie będę, ani koń z siodłem, ani bicykiel. A jakem sobie jeszcze pomyślał o naszym Jaśku, że go za rączkę nie powiodę i chodzić go uczyć nie będę... bo sam nóg nie mam.

Kobieta płakała wciąż, nie zdolna wyrzec słowa. Wtedy on zaczął jakby przepraszać ją głosem cichym i prawie pokornym.

— Może ty mnie już nie chcesz... Widzisz, zostały mi przecie obie ręce, będę mógł robić, choć siedzący i będę, obaczysz. Ale jeśli nie chcesz, jeśli ci wstyd mam robić, to zostanę w przytułku dla inwalidów...

Słysząc to wyprostowała się nagle. Jakto on, jej chłop, gospodarz, który ma prawo rozkazywać, prosi ją, przeprasza tonem błagalnym, taki pokorny? To ją ubodło w serce najpierw, a potem zadrasnęło jej ambicyę kobiety i żony. Z mieszaniny tych uczuć, wytrysnął nagle płomień współczucia, rosnący wciąż, który ogarnął całą jej istotę, podnosząc ją z otchłani boleści, w jakiej była pogrążona. Objęła męża za szyję i całować zaczęła jego pobladłe policzki i oczy, w których drżały niewypłakane łzy.

— Pietrek! — mówiła — Pietrek, a ty co znowu! Co ty mówisz! Czy ja cię zechcę? A cóż to? czyć ty nie chłop? nie gospodarz w chałupie, i za co mnie przepraszasz? za co? Żeś lepszy od innych, ty waryacie! Dom twój i wszystko twoje! Gospodarzem będziesz, jakeś był, a może lepiej jeszcze. Wszystko będzie jak ty zechcesz. Zawsze zawsze tak będzie u nas.

Próbowała się uśmiechnąć, choć na wargach czuła jeszcze gorycz świeżo wylanych łez. Twarz rannego rozjaśniła się, co widząc pocieszała go dalej, wycierając dosłownie chustką wilgotną rosę wzbierającą jeszcze pod powiekami.— Rzewna i bohaterska w tych wysiłkach, chciała być wesoła, pragnęła go rozśmieszyć.

— A wiesz! To nawet szczęście, że ci nogi odjęło, a nie ręce. Umiesz pięknie pisać, będziesz papiery odpisywać. Jasiek i ja będziemy ci zawsze pod ręką. Cztery zdrowe nogi na troje to jeszcze nie tak źle w tych czasach. Nie mamy się co skarżyć. Każdy mi jeszcze przyzna, żem miała szczęście w tej biedzie. Każdy, obaczysz!

O CZŁOWIEKU ŁAGODNYM I O ZWIERZĘTACH.

Będzie temu lat przeszło siedmset, gdy pewnemu bogatemu kupcowi w mieście Assyżu we Włoszech urodziło się dziecko, które miało wielką stać się chwałą zarówno dla swej ojczyzny, jak i dla całego świata.

Ów chłopaczek, dorósłszy, a chcąc się poświęcić dobru ludzkiemu, pogardził dostatkami ojcowskimi, zrzucił z siebie suknie drogocenne i podawany nieraz w pośmiewisko, w ubogiem odzieniu przebiegał miasta i wioski i mieszkańcom ich głosił prawdę świętą.

Nie potrzeba mu też było żadnych bogactw, bo miał słońce i gwiazdy, drzewa i trawy, rzeki miał i morze, ptastwo i inne zwierzęta. I tak się w nich rozmiłował, w tem słońcu i w tych gwiazdach, w tych lasach i w tych wodach i w tych zwierzętach.

że nie inaczej, jak tylko braćmi swymi i siostrami stwory te Boże nazywał.

Zwłaszcza ptaszęta przypadły mu najbardziej do serca, a tak je, wędrując po puszczach, oswoił, że i najdziksze przylatywały ku niemu i okruszyny chleba, którego sobie samemu skąpił, spokojnie z rąk mu jadły. Co więcej, dobroć jego sprawiła, że obcowały z nim, jak ludzie, rozumiejąc każde jego słowo.

Pewnego razu spotkał się Franciszek, bo tak było mu na imię, z młodym człowiekiem, niosącym gołębie leśne do miasta na sprzedaż. Zatrzymał go po drodze i powiada: „Źle robisz, mój chłopcze, że słodkie stworzenia te chcesz oddać na zabicie. Od dawnych czasów porównywano je z pobożnemi duszyczkami, przeto nie godzi się krwi ich niewinnej przelewać. Proszę cię usilnie, abyś mi je darował.” Młodzieniaszek usłuchał, a on turkawki te zagarnął w poły ubogiej sukni swej i tak do nich przemawiać zaczął: „Turkaweczki lube, drogie siostrzyczki moje. Czemuście tak wielce nieopatrzne, że się chwytać dajecie na sidła? Ocalę was od śmierci, zaniosę do boru, gniazdka wam pobuduję, abyście mogły żyć bezpiecznie i swobodnie.”

I tak też uczynił.

Zdarzyło się innym razem, że zaszedł do pewnego miasta i tutaj na rynku rozpoczął zwyczajem swoim nauczać ludzi. Aliści, zaledwie pierwsze wymówił zgłoski, zbiegła się moc jaskółek i wesołym świergotem jęła mu przeszkadzać. Słuchacze, żądni jego słowa, zniecierpliwili się ogromnie i czem kto mógł, ptaszki owe rozganiali. Nadaremnie. Odpędzić się nie dały. Wtedy on, zakazawszy ludziom wystraszać stworzonka Boże, sam się ku jaskółkom zwrócił i poprosił, iżby umilkły, gdyż pragnie Bożą wygłosić naukę. I jaskółki usłuchały go w jednej chwili. Do ziemi przypadły i dopiero, gdy skończył, z tym samym wesołym świergotem rynek opuściły. Zgromadzeni mieszkańcy wielce się temu dziwili i szczególniejszą widząc w mężu tym łaskę, świętego w nim uznali.

Miał ten wybrany człowiek licznych już towarzyszy, którzy tak samo w skromności a miłości żyć chcieli, jak on. Otóż z tymi towarzyszami wyszedł raz na przechadzkę w pole, aby zobaczyć zachód słońca. Przystanął na chwilę i wpatrzony w krąg płomienisty, chowający się za krańcem ziemi, przemyśliwał nad tem, jak piękny jest świat, jak wobec tych cudów wszystko w zgodzie żyć powinno i ludzie i rośliny i zwierzęta, jak usunąć chciwość i zbytnie dobijanie się o bogactwa, jak zapobiedz wojnom i wszystkim innym kłótniom i sporom. Tak dumając, ujrzał na topolach przydrożnych i wierzbach niezliczoną chmarę ptaków. Wzięła go ochota pogwarzyć sobie z nimi. Powiedział więc do swoich druhów: „Zostańcie tu, na drodze, a ja pójdę w pole i przemówię do tych naszych braciszków i siostrzyczek.”

Poszedł i stanąwszy na środku ściernicka, począł kazać do ptaków. W tej chwili zleciały się i te ptaki, które przedtem widział po topolach i wierzbach i wiele, bardzo wiele innych z pól, łąk, lasów i wszystkie, z miejsca się nie ruszając, słów jego słuchały. A on tak do nich kazał: „Najdroższe rodzeństwo moje, wy ptaszkowie polni i leśni i wy, co się gnieździcie na bagnach, i wy od jezior, rzek i gór. Wdzięczni bądźcie Stwórcy i chwalcie Go zawsze i wszędzie, albowiem od Niego wszelkie otrzymujecie dobrodziejstwa. Od Niego macie swobodę latania, gdzie wam się żywnie podoba; On dał wam upierzenie, iżbyście zimna nigdy nie zaznały; On wam obszary powietrzne przeznaczył na państwo, drzewa stworzył, góry i doliny, gdzie się chować możecie. Żadne z was ani orze, ani sieje, a jednak karmy macie do syta i napoju wam w rzekach, jeziorach, w źródłach i krynicach nie zabraknie. Ani też prząść, ani szyć nie umiecie, a przecież wam i dzieciom waszym Wszechmiłosierny, Wszechdobry Stwórca dostatni sprawia przyodziewek. Przeto wy, moi braciszkowie, i wy, siostrzyczki moje, uwielbień Mu nie skąpcie, iżby nie dopuścić się grzechu niewdzięczności.”

I jak owe turkawki, które wybawił od śmierci, tak i ta rzesza jęła trzepotać skrzydełkami, wyciągać dzióby, chcąc przez to pokazać, że słowa jego zrozumiała i że jej wielką sprawił radość. A ku gniazdom swoim na nocleg dopiero wówczas, prześlicznie śpiewając, uleciała, gdy jej słodki ten przyjaciel ptaków i wszelkiego stworzenia Bożego pobłogosławił.

Dobroć jego i łagodność okazała moc swą i nad wilkiem drapieżnikiem.

W okolicy pewnego miasteczka, do którego przybył Franciszek z Assyżu, straszne grasowało wilczysko, bijąc nie tylko zwierzęta, lecz i pożerając ludzi. Zbrojne na dziką bestyę czyniono obławy, na nic się to jednak nie zdało. Kiedy mieszkańcy, doprowadzeni do ostatniej rozpaczy, nigdzie ratunku już nie widzieli, stanął przed nimi ów mąż łagodny i miłością do wszystkiego, co żyje, napełniony i rzekł: „Nie lękajcie się; pójdźcie za mną, ja go uśmierzę.”

Wyruszył z wielką rzeszą ku puszczy, skąd wilk na krwawe wypadał rabunki. I teraz, ujrzawszy Franciszka, poprzedzającego swoich towarzyszy, wybiegł z gęstwiny i z otwartą paszczęką rzucił się prosto ku Świętemu. Lecz ten się nie przeraził, tylko dobrotliwie do niego, jak do człowieka, przemówił: „Bracie mój, wilku; rozkazuję ci, abyś się pohamował i krzywdy nikomu nie wyrządzał.” I o dziwo! Na to upomnienie wilk nie postąpił ani kroku. Słuchał dalej. A Franciszek odezwał się jeszcze w te słowa: „Widzisz, braciszku mój, wilku; szkody czynisz straszliwe, rozszarpując nie tylko zwierzęta, ale i ludzi, stworzonych na obraz i podobieństwo Boże. Złodziej jesteś, rabuś i morderca, godzien szubienicy. Nie masz przyjaciół w tym kraju, boś jego wrogiem. Upamiętaj się, a ja pokój wprowadzę między tobą a ludźmi; nikt na ciebie nastawać nie będzie, obław wszelkich zaniechamy. Przyrzeknij mi, bracie wilku, że odtąd żyć będziesz inaczej.”

Tak przemówił do niego, a wilk zaczął kręcić ogonem i ruchem ciała i spojrzeniem dawał do poznania, że go rozumie i rady jego posłucha. Wtedy Franciszek dodał: „Posłuszny jesteś memu słowu, bo słowo to Boże, miłości pełne. Wiem, żeś tych zbrodni dopuszczał się z głodu; dlatego obiecuję ci, że gdy rabunku i krwiożerstwa zaprzestaniesz, głodnym nigdy nie będziesz. Dostarczę ci jedzenia do sytości. A na znak, że prośba, którą zanoszę do ciebie, bracie mój, wilku, nie jest daremna i na przymierze z nami podaj mi łapę swoją.” I wilk ku zdumieniu wszystkich łapę mu podał, za Franciszkiem do miasta, jak pies najwierniejszy, poszedł i od tej chwili wśród mieszkańców przebywał, nikomu nic złego nie czynił, z dziećmi na rynku wesoło się zabawiał.

Tak łagodność i miłość wszelkiego stworzenia i najkrwawszego pokona potwora.

Jan Kasprowicz.